

Kredens z aniołami

25 grudnia 2015

Ta historia zaczęła się bardzo banalnie. Nic nie zapowiadało, że zmieni się w śledztwo, zagłębiające się daleko w przeszłość.

To był kolejny, zwyczajny dzień. Od dawna namawiano mnie, żeby odwiedzić miejsce zwane Falkland. A ja, jakby z przekory, nie chciałam jechać. Mimo że blisko, nie mogłam przestać myśleć, że nic tam nie ma. Nic, oprócz pałacu. Bo w Szkocji przecież prawie w każdym mieście czy wsi jest jakiś historyczny obiekt. Stary lub nawet bardzo stary. Na ścianie plakietka z informacją, czasem jeszcze skromne pomieszczenie z eksponatami, na których osiada kurz. Jest też rzecz jasna jakiś lokalny społecznik, który opowiada o miejscu. I to w zasadzie tyle.

Jednak tym razem dałam się przekonać. Wsiadłam do autobusu i pojechałam zobaczyć Falkland. Obiecałam sobie, że nie będę zwiedzać pałacu, ale poszukam czegoś, co wynagrodzi mi ten niechciany wyjazd. Pogoda była jak zwykle: pojawiało się słońce, potem rzęsy deszcz i na koniec chmury, które niemal przesłoniły nieodległe wzgórza. To nie wróżyło dobrze. Deszcz, temperatura bliska zeru i jesienne przedpołudnie, gdzieś w środku niczego.

Autobus zatrzymał się przy głównej trasie, niedaleko od wąskiej uliczki z rzędami niewielkich, starych, ale zadbanej domostw. Niektóre z nich miały daty budowy 1750, 1674. Białe ściany, wokół kwiaty, które jakby na przekór jesieni nadal kwitły i pokrywały kolorowym dywanem schody i ścieżki. I nikogo wokoło. Mimo że miateczko z racji historycznego pałacu znajduje się na szlaku turystycznym, w ten szary dzień wyglądało jak wymarłe. Wydawało się, że nawet ptaki stąd odleciały. Nie było samochodów, ludzi, psów, nie było nic. Zamknięte okiennice, dwa niewielkie, stare puby i dwa sklepiki

z pamiątkami z dalekich Chin. Chciałam pędem wrócić na przystanek i odjechać jak najszybciej, ale kolejny autobus był za godzinę. W tym czasie mogłabym przejść to miejsce wzdłuż i wszerz kilka razy. Byłam zła na siebie, że dałam się namówić na niechciany wyjazd. Byłam zła na Falkland, że zmusza mnie do zostania tu.

Znudzona przeszłam w kierunku bardzo małego ronda, czegoś na kształt rynku, z kamienną fontanną pośrodku. Czworobok kamieniczek dopełniał widok pałacowych wież. Kiedy mijałam narożny dom, zobaczyłam niewielką tabliczkę w oknie: „Violins, bought and sold”. Do tego dołączony dość naiwny obrazek ze skrzypcami, pięciolinia i kilkoma nutami. Pomyślałam – Boże, jakie to banalne. Godzina do odjazdu. Miałam do wyboru pałac, albo sklep z antykami i instrumentami muzycznymi. Wybrałam antyki.

Pomieszczenie o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych było potwornie zagracone. Wszędzie stały meble, porcelanowe figurki, talerze, filiżanki. Na ścianie zauważyłam starą litografię przedstawiającą Fryderyka Chopina obok reklamy kolei z początku XX wieku. Na sznurkach i haczykach wisiały skrzypce. Całości „dopełniał” bardzo zakurzony żyrandol.

Za kontuarem siedział wysoki, starszy mężczyzna. Uśmiechnął się do mnie z jakimś błyskiem w oku. A może tylko mi się zdawało. Pewnie pomyślał to samo, co ja. Co u diabła robi tu ta kobieta w taki dzień, jak dziś? Postanowiłam, że jakoś przeczekać tę godzinę do odjazdu autobusu i spróbuję się dowiedzieć czegoś o sprzedaży skrzypiec w miasteczku na końcu świata. Nie bardzo wiedziałam jednak jak zacząć tę nieszczerą rozmowę.

I w tym momencie spojrzałam w głąb sklepu, gdzie zobaczyłam coś niezwykłego. Bardzo stary, bardzo zakurzony i bardzo dziwny mebel. W zasadzie trudno go było nawet nazwać meblem. To był przykład naiwnej sztuki. Jakby ktoś próbował zrobić kredens nie mając o tym pojęcia, i korzystał jedynie z

podpowiedzi kogoś, kto kiedyś kredens widział. Prawie czarny, drewniany, nieproporcjonalny. Zbyt wąski, z reliefami przedstawiającymi postacie – aniołów (?). Do tego motywy kwiatowe i przedziwne kolumny. Całość wyglądała jak kiepski żart. Ale z drugiej strony pokraczny mebel miał w sobie jakąś prawdę. Było widać, że komuś bardzo zależało na tym, żeby kredens był najpiękniejszym na świecie. Tak, jakby ten ktoś chciał w nim zawrzeć całą wiedzę o otaczającym świecie, przyrodzie, świętych, o pięknie.

Zapytałam o niego właściciela. Okazało się, że nie jest na sprzedaż. Podobnie zresztą jak wiele innych rzeczy w tym sklepie. Dziwne. Poczułam się trochę niepewnie. Choć w zasadzie mogłam się tego spodziewać po miejscu takim, jak to. Postanowiłam, że nie poddam się tak łatwo i dowiem się czegoś więcej o tym tajemniczym meblu.

Był stary, co najmniej 150-letni, pochodził z wyspy St Kilda. Nie wiadomo, jak się tu znalazł, kto go przywiózł i dlaczego. Sklepiarz nie miał zbyt wiele do dodania. Ale nazwę St Kilda wymawiał z niejakim namaszczeniem, co jeszcze bardziej mnie zaintrygowało. Zrobiłam kilka zdjęć wnętrza, kupiłam jakiś drobiazg i wyszłam. Mój autobus miał być za chwilę.

Po kilku dniach postanowiłam zebrać informacje o wyspie, o której mówił sprzedawca skrzypiec. Nie potrafiłam pozbyć się uczucia, że coś kryje się za jej nazwą. Nie mogłam też zapomnieć dziwnego, czarnego mebla. I tu w zasadzie powinna zacząć się ta opowieść.

St Kilda to mała wysepka gdzieś na północnym-zachodzie od wybrzeży Szkocji, po drodze do Ameryki Północnej. Wyspa nie jest zamieszkała, a w zasadzie nie jest zamieszkała od 1930 roku, kiedy to ostatni mieszkańcy zostali z niej przesiedleni na stały ląd. W latach swojej największej świetności mieszkało na niej nie więcej, niż 180 osób. Wyspy archipelagu należą do National Trust for Scotland i zostały umieszczone na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Tyle suchych faktów.

A co kryje się poza liczbami i datami? Ludzie, którzy mieszkali na tym skrawku lądu od niepamiętnych czasów byli odizolowani od „cywilizacji”, bez możliwości żeglowania z braku drzew, a więc budulca na statki czy łodzie. Były i są tam tylko trawa i najwyższe w Wielkiej Brytanii klify, do których trudno podpłynąć z powodu dużych fal i sztormowych wiatrów.

Zaraz, zaraz, pomyślałam. Skoro nie rosną tam drzewa, to jakim cudem powstał czarny kredens. Kto go wykonał i skąd wziął materiał na jego budowę, kiedy dookoła nie było niczego, prócz kamieni i skał?

Społeczność wyspy miała minimalny kontakt z „cywilizacją”. W zasadzie przez większość roku nie dało się dopłynąć do tego miejsca. Statki handlowe zawijały do niewielkiej osady sporadycznie. Tubylcy zdani na siebie samych, niemal jak Indianie w amazońskiej dżungli czy Aborygeni, byli nieufni wobec obcych. Przez wieki izolacji nie nabyli odporności na choroby przywożone przez żeglarzy, nie wiedzieli o istnieniu króla i o tym, że są jego poddanymi. Nie byli rybakami, bo nie mieli łodzi. Byli za to pasterzami – na wyspie mają swoje siedliska stada dzikich owiec. Głównym pożywieniem na St Kildzie były ptaki: mewy, maskonury. A ponieważ miały swoje gniazda na wysokich klifach i skalistych brzegach, ludzie z wyspy musieli nauczyć się wspinaczki. Do dziś krążą legendy o tym, że mieli nienaturalnie długie palce u nóg.

W późniejszych wiekach kontakty ze stałym lądem były częstsze. Chaty, które wcześniej wyglądały jak kamienne szałaszy, zaczęły przypominać domy. Stąd też pewnie pojawiały się pierwsze meble, robione z drewna, które wyrzuciło morze, lub też przywieźli żeglarze.

St Kilda rządziła się swoimi własnymi prawami. Na co dzień odbywały się spotkania wszystkich dorosłych członków społeczności. Zasiadano przed domami na jedynej ulicy w osadzie i dyskutowano o tym, co trzeba byłoby zrobić

następnego dnia. Takie nieprzerwane posiedzenie rady miejskiej.

Wszyscy wyglądali podobnie. Brodaci mężczyźni w wełnianych kamizelkach. Kobiety opatulone w chusty; bose dzieci. Zachowało się kilka czarnobiałych zdjęć z początku XX wieku, kiedy to wyspa stała się obiektem zainteresowania „cywilizowanych” mieszkańców Królestwa. I to oni właśnie dokumentowali istnienie tej odizolowanej małej społeczności. I to również te kontakty doprowadziły do tego, że ludzie z St Kildy wyjechali stamtąd. Na wyspie pozostały kamienne domostwa, stada zdziczałych owiec i największe w Europie siedliska ptaków.

I zapewne wtedy jeden z mieszkańców wyspy postanowił zabrać rodzinną pamiątkę w drogę. Czarny, drewniany kredens pełen kwiatów i aniołów. Wyobrażam sobie, że dwieście lat temu zamówiła go jakaś świeżo poślubiona dziewczyna, a zakochany w niej brodaty łowca mew postanowił stworzyć go dla niej. Długo zbierał potrzebny materiał, potem niespiesznie wykonał poszczególne części i na koniec ustawił go w jedynej izbie nowo wybudowanego domu. I był bardzo z siebie dumny.

A dziś ja mogłabym na niego patrzeć godzinami i rozmyślać o ostatnich szczęśliwych mieszkańcach najodleglejszego krańca Europy.

Autorstwo: Katarzyna Jajszczok

Źródło: Cooltura.co.uk